



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Lina Morgenstern.

W Styczniu r. b skończyło się lat dwadzieścia pięć, jak Lina Morgenstern objęła redakcję najpoczytniejszego dziś pisma dla kobiet w Niemczech: „Deutsche Hausfrauen Zeitung,” pisma, które założyła pierwotnie jako organ berlińskiego „Hausfrauen-Verein'u,” a które bardzo prędko stało się echem, obejmującym wszystkie sprawy niewieście. Organ ten wystąpił od razu jako gorący obrońca i rzecznik wszystkich idealnych i praktycznych dążeń kobiecych, jako inteligentny kierownik ruchu i dokładny sprawozdawca postępów na wszelkich polach pracy umysłowej, artystycznej, gospodarczej i pedagogicznej. Samo założenie pisma dało pracę licznemu zastępowi kobiet, bo redakcję, nakład i druk wzięły na siebie same kobiety.

Lina Morgenstern, jako kierowniczka pisma, zapragnęła, aby kobiety nie zamykały się jedynie w swem domowym wygodnym gnieździe, lecz żeby przebudzone z obojętności własnego dobrobytu, poczuły się koniecznymi czynnymi członkami społeczeństwa i podjęły wedle sił i warunków swoich, wspólną z ogółem pracę ku dobru tego ogółu, z trzeźwym i jasnym zrozumieniem wszystkich współczesnych zagadnień ludzkich, a mianowicie tych, które sprawy ich dotyczą.

Zasadniczą moją myślą przewodnią w kierowaniu pismem dla kobiet było — pisać p. Morgenstern — przez pracę kobiet i ich wykształcenie, przez obalenie dotychczasowych przesądów, wypełnianie obowiązków i uzyskanie człowieczych praw dla kobiety — otworzyć jedynie możliwą

drogę wspólnej pracy płci obu — w idealnym celu osiągnięcia przeznaczeń ludzkości; a przez wszechstronny rozwój stron obydwóch, doprowadzać stosunki ludzkie do stanu możliwie doskonałego i — zadawalniającego.

Przyznać trzeba, że redaktorka dotrzymała słowa czytelnikom swego pisma i przez lat dwadzieścia pięć trzymała się zawsze ściśle i jednostajnie powyższego planu, a musiał on przyjść w porę i znaleźć odpowiedni grunt w świeceniowieści, skoro pismo rozwijało się coraz pomysłniej, i nawet materialne przełomy nie zachwiały jego istnieniem, podtrzymanem w danej chwili przez same kobiety i energię swej kierowniczk. Jako organ berlińskiego „Związku kobiet,” na pierwszym planie popierał sprawy stowarzyszenia, które ogromną rozwija działalność na polu zakładania różnych pożytecznych dalszych instytucyj, jak np. „Kuchni ludowych,” „Towarzystwa dla wychowania dziewcząt, opuszczających zakłady karne,” „Związek nagradzania dobrych sług” i inne, a niemal wszystkie one powstały z osobistej szlachetnej inicjatywy Liny Morgenstern. Dobro moralne i materialne kobiety, od najwyższych sfer do najniższych, zawsze leżało na sercu szlachetnej redaktorki i dla tego nie wahała się nigdy sama zabrać głosu w zagadnieniach spornych i drażliwych, ze spokojną odwagą pisać prawdę w oczy społeczeństwu swojemu, i dając w swem piśmie miejsce i wyraz nowym, świeżym, śmiałym a zdrowym poglądom na obowiązki, pracę, godność i stanowisko kobiety niemieckiej i kobiety w ogóle, bo Lina Morgenstern nie jest bynajmniej pruską szowinistką, obchodzą ją niewiasty wszystkich narodów, a echo tego jej współczucia wraca ku niej sympatycznie z odległych krańców Anglii, Francji i Ameryki.

Mając zawsze wysokie cele na myśli, zalecała nieustannie drogi praktyczne do osiągnięcia celu,

i to co wypowiedziała w wybornym swoim pierwszym artykule wstępnym p. t. „Czego my chcemy,” to samo popiera dalej, zastosowując swe poglądy do coraz szerszego zakresu niewieściej działalności. „Dobre gospodarstwo” jest zasadą dobrobytu jednostki i narodu i państwa, a za niem idzie możność podstawowego kształcenia i wychowywania społeczeństwa. Dobre gospodarstwo więc powinno być najpierwszem zadaniem kobiety, jako najpewniejsza droga do ekonomicznego rozwoju i materialnej podstawy.

Kobiety, zdaniem p. Morgenstern, zamało się dotychczas „uczyły” gospodarować; bez metody, bez systemu, bez zrozumienia dokładniejszego ważności swego zadania, gospodarowały na dużych, średnich i małych gospodarstwach jak się której udało, a nie zawsze się udawało, i przez to szkodę ponosiło i dane gospodarstwo, i w najdalszych już skutkach ekonomia krajowa. Więc zadaniem pisma „Hausfrauen-Zeitung” miało być przede wszystkim: objaśnienie kobiet co do obowiązkowego pojmowania gospodarstwa, co do rozwoju różnych jego gałęzi domowych, na wsi i w mieście, co do źródeł pracy — przemysłowej, handlowej czy fachowej; dalej zainteresowanie ich ogółu ważną sprawą pomysłności rodziny, wychowywania dzieci, zapoznawania się z higieną, pielęgnowaniem chorych, nowymi wynalazkami przemysłu i uprawy roli, wreszcie z umiejętnością gotowania dla zdrowych, dla dzieci i dla chorych. Wszystko tu było uwzględnione, prócz jednego, to jest mody. Ona wołała mieć czas i dać czas swoim czytelniczkom dla studyowania spraw większej doniosłości niż kształt kapelusza lub krój sukni i wołała dać w piśmie miejsce kronice „z życia kobiet,” sprawie robotnic i wyrobnic, nauczycielek i pracowniczek w przemyśle, a jako dodatki książkowe wychodziły jej wyborne dzieła, wydawane nakładem berlińskiego „Związku kobiet,” z których choć parę wymienić wypada:

„(trzy wydania), „Pod-
koły gotowania, „Książ-
owych i chorych“ (6 wy-
nowe i doświadczenie go-
), „Nauka odżywiania się“
do szczęścia domowego“
ych.

aniem przebiega się myślą dłu-
wała, niczem, pomimo wielu tru-
achwianą wytrwałość Liny Morgen-
zeroki jej a praktyczny umysł, umiejący
talentem organizatorskim jednocześnie kierowni-
ctwo pisma, paru poważnych instytucyj, własne-
go domu, rodziny i czujne mieć oko na rozrzu-
cone po całym świecie objawy budzącego się ru-
chu kobiecego, który zjednoczyła w berlińskim
kongresie przed paru laty. Ale też i uznania nie
szczędzono energicznej niewieście, jej instytu-
cyom dawano już srebrne i złote medale na wy-
stawach, z kierownictwa niemi nigdy jej zwol-
nić nie chciano, gdy utrudzona prosiła o odpoc-
zynek, a cesarzowe niemieckie osobistemi lista-
mi zachęcały ją niejednokrotnie do przewodni-
czenia nadal na swych trudnych stanowiskach.
A przytem, jest to osoba dobra, prosta i miła;
ci coś się z nią zetknęli osobiście, odnoszą wrażenie
wielkiej dojrzałości ducha, bijącej od jej pogodnego
czoła, — i tylko, gdy ją poruszy jaka piękna
idea, jaki doraźny ogólnoludzki obowiązek, jaka
krzywda i ciemność, to wtedy, niemłoda ta już
dzisiaj osoba, zrywa się odrazu do słowa, do czy-
nu, mądra zmarszczka występuje na jej czoło,
i nie zważając na wiek swój, siły, zdrowie, czas,
nawał pracy, Lina Morgenstern gotowa jest za-
wsze do obrony dobra, prawdy, obowiązku, prava,
i tego wszystkiego, za co warto trudzić się,
poświęcać i walczyć.

Szczęсна.

POSTACIE NIEWIEŚCIE w poezjach L. Kondratowicza.

Studjum psychologiczno-etyczne

przez

Stanisława Ostrowskiego.

(Dalszy ciąg).

Budzące się nieraz wyrzuty sumienia stara się
zagłuszyć i uspokoić zawsze tym samym argu-
mentem: wszak ona pewna jest swego serca, wie
doskonale, że „nie pokocha przecie oprócz Szy-
mona nikogo w świecie...“ pozostanie mu
wierną przez czas nieobecności, a gdy po-
wróci — wyjdzie za niego i będzie dlań najprzy-
kładniejszą i najwierniejszą żoną. Lecz teraz—
przed powrotem Szymona—czemużby nie miała
poweselić się nieco i podurzyć chłopców? Jednej
niedzieli zabawa w gospodzie gwarniej szła i hu-
czniej niż zwykle. Głośniejszy odzywały się skrzy-
pce, raźniej też i żwawiej szły tany. Jak zwykle,
rej wiodła nasza dziewczyna, a tańcował z nią
przez cały wieczór ów młody strzelec. Śmiech
i pustota ani na chwilę nie schodziły z ust naszej
dziewczynie; rozochociona i rozigrana wśród tań-
ców, ani spostrzegła, jak późnym wieczorem do
gospody wszedł jakiś podróżny z tłumokiem,
usiadł w ciemnym kątku izby i nieruchomym,
dziwnym wzrokiem spoglądał na dziewczynę.
Marta stawała się coraz weselszą i bardziej pu-
stą. Naraz dał się słyszeć łoskot na podłodze
i jęk jakiś głuchy... Wówczas dopiero obejrzała
się Marta i w człowieku, który leżał zemdłony
na ziemi, poznała — Szymona. Uczucie, jakiego
wówczas doznała, w tych oto maluje się wier-
szach:

„Czyż trzeba mówić, że zbladła, krzyknęła?
Że w serce moje uderzył grom boży?
Całą szkaradę mej płochości dzieła
W jednym momencie uczułam najsrożej...“

Ów „piorun boży,“ który uderzył w serce
dziewczyny, rozświetlił błyskawicą nagłą jej su-
mienie, tak, że błędy jej stanęły w niem widome
i jasne, rozbudził w sercu wielki żal, żal szczerzy
i przenikliwy, który bolesnym ostrzem pierś jej
przeszył... Wybiegła za Szymonem, który ocknął
się i wyszedł był z chaty, ukłękła przed nim,
wołając głosem rozzdzierającym: „Szymonie! Szy-
monie! Złutuj się! Przebacź! Powitać mię z drogi!“
Po dwakroć wstrzymywała go z płaczem — po
dwakroć odepchnął Szymon klęczącą i odszedł—
do lasu. To poczucie winy własnej i to odep-
chnięcie przez kochanka — te dwa ciosy jedno-
cześnie niemal spadły na dziewczynę zbyt silne-
mi były, aby je przenieść mogła na razie... Pa-
dła na ziemię bez czucia, a nazajutrz w ciężkiej
bredziła malignie.

Lecz widać cios nie był nad siły, lub też orga-
nizm fizyczny posiadał nadto wielki zapas sił ży-
wotnych, aby cios moralny mógł go zniszczyć.
Po dwu tygodniach wstała z choroby, i—pełna
jeszcze szczerzego żalu za przeszłość—poszła pie-
lęgnować konającą matkę Szymona. Czyn ten
bez wątpienia wywołany był potrzebą moralną
zadość uczynienia przez to poświęcenie się choć
w części za winy i błędy. Szymon, który wpół
obłąkany tulał się po lesie, podszedł raz pod
okienko chaty, lecz ujrawszy przy łożu swej
matki Martę—cofnął się i wszedł do lasu. Potem
widziała go dziewczyna w gospodzie pijanego:
nie poznała jej—lub poznawszy może — odwrócił
się od niej ze wstrętem. Rozpił się w końcu zu-
pełnie—i wkrótce stargał nędzne życie.

Do poprzednich wyrzutów dziewczyny — wy-
rzutów za stargane szczęście Szymona—przylą-
czył się teraz najcięższy — wina zabójstwa. Wi-
dzimy więc nieszczęsną — jako pokutnicę — ucie-
kającą się do krutek spowiedzi, pragnącą wy-
znaniem swej winy ulżyć sumieniu; widzimy ją
następnie odchodzącą od konfesjonału — nieroz-
grzeszoną... następnie płaczącą na mogile Szy-
mona. Są to wszystkie objawy, zdające się świad-
czyć o szczerzej skrusze, o duszy zbłąkanej, lecz
bądź co bądź szlachetnej w gruncie i głębszej.
Lecz oto pół roku przeszło od śmierci Szymona...
dziewczyna odpokutowała swą zbrodnię, żal za
nieszczęśliwym kochankiem coraz się rozwie-
wał.. poczuła w końcu, że „życiu wypłacić coś
trzeba“ — i oto widzimy ją znów „wodzącą w tań-
cu orszaki,“ a w końcu idącą z młodym chłop-
kiem do ślubu...

„Czemu to życie nie jest poematem?!“ zapytu-
je w końcu powieści poeta — a w tym wykrzy-
kniku czuć gorzką i bolesną ironię—smutną skar-
gę na płochosć i nicość moralną serc ludzkich...
Bez wątpienia, postać Marty jest jedną z najni-
żej etycznie stojących kreacyj Syrokomli. Posta-
ci takich w galerji typów niewieścich naszego
poety jest bardzo niewiele. Tę jedną przywie-
dliśmy umyślnie, aby tem jaśniej i wyraźniej od
niej odbijały obok stojące typy szlachetne i pię-
kne.

A teraz wyobraźnia poety przenosi nas w smu-
tny krajobraz zimowy i stawia „na pustem polu“
pod ścianą odwiecznego boru, gdzie tuli się skro-
mnie uboga i nędzna chata gajowego. Otoczenie
tej chaty—jak je maluje poeta — jest przeraźli-
wie smutne: dach jej podparty, śniegiem przy-
gnieciony, dziurawy; ściany chylą się ku ziemi,
okienka popekane i pobite; obok—przy ogródku,
jak trzy nagie szkielety—stoją trzy bezlistne,
zamarłe drzewa: dwa klony i stara grusza, która
„boleściwie stęka.“ Również nędznie wyglądają
zabudowania gospodarskie, stojące w pobliżu—
stara stodoła, obora i spichrze— „a wszystko nę-
dza, jak duch niewidomy, pookrywała w łachma-
ny najlichsze...“ Gniazdo bocianie nad chatą—
przy studni źrórow i wreszcie „pochyły krzyżyk
z łacińskimi słowy;“ — dopełniają obrazu, jak
trzy smętne stróże tego pustkowie i nędzy.
Umyślnie przytaczam i stawiam przed oczy czy-

telnikom ten obrazek, aby zaznaczyć, jak głębo-
ko przejmował się Syrokomla smętkiem takich
pejzaży i obrazów i jak wiernie umiał je odtwo-
rzyć. Niemniej typowe jest wnętrze chaty—zaj-
rzyjmy doń: ściany „czarne“ — na jednej z nich
uderza w oczy gromnica biała, kraśnieje obraz
Przenajświętszej Matki, nad nim sucha palma od
Kwietniej niedzieli. Sprzęty proste: ławy pod
ścianą i stół wedle ławy, nakryty bieluchnym
obrusem, a na nim— „folgując zwyczajowi gwo-
li“ — bochenek chleba i sól. Za całe upiększenie
izby służy chyba tych kilka talerzy cynowych,
które się „srebrzą“ na ścianie, topór i oszczep
myśliwski, polyskujący się, chociaż rdzawy—
insygnia urzędu gajowego. Taka więc sama pro-
stota, to samo ubóstwo—co i zewnątrz... czystiej
tylko i bardziej chędogo; a jednak jest coś, co
krasi nędzę tę i prostotę: to z kątów izby—niby
tajemne duchy domowe—wyglądają ciche cnoty:
pobożność, pracowitość, gościnność... wyglądają
one z kątów i jasnymi oczami świecą wśród
zmierechu i cieni. A oto ludzkie uosobienie onych
cnót: przy oknie starzec siwy „pobożne pieśni
z psalterza wywodzi,“ a przy drugim oknie
młoda niewiasta przedzie i piosnkę dzieli starca.

W takiej to chacie i w takim otoczeniu wy-
chowwał się Hrehory, syn gajowego. Wszakże
przeznaczono mu było wyjść z tej prostoty i z tej
ciszy na świat szerszy — i oto właśnie powieść
rozpoczyna się od zdarzenia, które zmieniło cał-
kiem losy chłopca. Do ubogiej chaty gajowego
wstąpił panowie podróżni. Był to Jan Tarnow-
ski z przybocznym orszakami. Podobał się het-
manowi dziarski chłopak, przyjął go więc do
swojej drużyny, pragnąc go wyrobić na rycerza.
Niestety jednak! wybór hetmana nie trafił na
grunt dość szlachetny: nie miał Hrehory podnio-
słości ducha i wyższych szlachetniejszych zapę-
dów; miał on raczej naturę żoldaka, który dba
przedewszystkiem o osobistą korzyść, a najwyż-
szą nagrodę swych zasług widzi nie w zadowo-
leniu moralnem z godnie dopełnionego obowią-
zku, lecz jedynie w pieniądzach i zyskach.

Takiego to człowieka spotyka na swej drodze
Beata, córka Oswady, bogatego starosty w Kra-
kowie. Beata — według słów poety — była je-
dnym z owych cherubów, jakich Bóg czasem zsy-
ła na ziemię, pragnąc przez nich uszlachetnić
ludzi i „dać im próbkę nieziemskiego świata.“
Dalej mówi o niej poeta: „Piękną od Boga obda-
rzona duszą, piękno swej duszy nosiła na twa-
rzy...“ Nie była to jedna z tych piękności niewie-
ścich, które zładnie rozmarzają człowieka, cho-
ciaż serce ich nieraz świeci próchnem. Przeci-
wnie, Beata miała w sobie jakąś moc wewnętrz-
ną, czar jakiś, któremu wszyscy hołdować musie-
li; miała jakiś szczególny dar czy moc cudowną
uspakajania i uswięcania ludzi, którzyby się zbli-
żyli do niej. Ciało jej wiotkie — „to subtelna
tkanka, w którą Bóg zasnuł myśl swojego czoła,“
zdaje się niezdolne do podwignięcia ziemskich
trudów żywota; podobne jest wążemu kwiatu,
który lada powiew obali, lada wiatry zdmuchną.
W tej jednak subtelnej fizycznej organizacyi
ukrywa się duch mocny, to tak pieszczone serce
„w dyament stwardnieje,“ skoro nań przyjdą
bolesne losy... te oczy, mgławą przykryte po-
włoką i płonące jakby zawstydzieniem, śmiało
spojrzą przed siebie — „nie obemdleją i lzy nie
uronia,“ jeśli nadejdzie nieszczęście. A serce?..

„Serce hartowne meztwem, jak kolczuga,
Nie wie, co znaczy gra uczucia płocha;
Lecz gdy pokocha, to już raz pokocha,
Szczerze, głęboko i jak wieczność długo...“

Cóż dziwnego, że słysząc o czynach Hreho-
rego, wymarzyła w nim równie wysokie przy-
mioty ducha, że serce jej żywiej uderzyło ku
pięknemu, dziarskiemu młodzianowi... „Nie mo-
gło marzyć wysokie jej serce o pospolitym zło-
tnym młodzianie,“ jakim niestety był właśnie
Hrehory. A wokoło siebie tyle słyszała pochwał,
tyle wyrazów uwielbienia dla jego meztwa... Nie
dziw więc, że nie oparło się temu urokowi jej
serce —

„Poczęła lubić, kiedy o nim słyży,
Gdy jego chwale zazdroszczą zawistni,
I marzyć o nim w wieczornej zaciszy,
I było błogo, gdy go we śnie przysni...”

Nie mógł się Hrehory wznieść do pojęcia tak wysokiego uczucia, tem mniej mógł odpowiedzieć idealnym jej wymaganiom. I on kochał Beatę, lecz dla tego tylko, że piękne miała oko, smukłą kibić i bardzo bogate wiano. On, który wstydział się, że „jego ojciec tylko stróż gajowy, że jego matka w lnianej sukni chodzi,“ oczywiście, że i w miłości nie mógł stosować poglądów idealniejszych i wyższych. Kochał wprawdzie Beatę szczerze; sam poeta mówi, że kochał ją „najświęciej, najgodniej“ — i że dla tej miłości „dać życieby gotów,“ lecz potęga uczucia zależała od bliskości jej przedmiotu; oddalone — traciło na żywości i mocy, chłodziło, nie mogło być — niestety — dla serca aniołem-stróżem od pokus... „gdy na chwilę oddali się od niej, nie mógł się płochych powstrzymać zalotów; prawie nieświadom co wyższa ofiara, nie mógł się ostać przed najłżejszą próbą... *nie umiał walczyć sam z sobą.*“ Był to więc charakter nie tyle może zły z gruntu, co lekkomyślny, powierzchowny i słaby.

Sam Tarnowski pojechał w swaty prosić o rękę córki starosty dla Hrehorego. Takiemu pośrednikowi w niczem nie mógł odmówić Oswada, — przystał więc z wdzięcznością na propozycję i oto już wyznaczony niedaleki dzień godów weselnych. Tymczasem jednak nadeszła wyprawa infancka, na którą wraz z innymi musiał wyruszyć Hrehory, nierad z odwłoki godów. Oto widzimy go w chwili pożegnania z Beatą przed drogą. Prosi ją o wierność i stałość dla niego w czasie rozłąki, pociesza ją tem, że po tej wyprawie król za zasługi obdarzy go starostwem grodowym, a wówczas nigdy już — do samej śmierci — nie opuści swej ukochanej; uczyńni zawsze rozbrat z orężem i używać będzie przy niej słodkiego wczasu po trudach. Lecz takie egoistyczne marzenia o szczęściu nie mogły się podobać wzniosłemu i gotowemu do poświęceń sercu, jakim było serce Beaty... ze szlachetnem więc uniesieniem przerywa słowa Hrehorego, błagając go ze łzami, by nie mówił, że nad spełnianie obowiązku przekłada zniewieściałe rozkosze. Ona dotąd wierzy w szlachetność i podniosłość pobudek, które go popychają do czynów — temi więc słowy go żegna:

„Nie, mój Hrehory! *folgować nie wolno*
Ni zdrowiu swemu, ani sercu swemu... —
Ja pozostanę, drżąc o twoje zdrowie,
Płacząc z tęsknoty, modląc się do nieba...”

Czyż może być piękniejszy, a zarazem wznioślejszy rys niewieściego serca, czyż może być podnioslejsza chęć do ofiary, jak to uczucie, które każe kochającemu sercu wyrzec się osobistego szczęścia dla dobra powszechnego, dla względów szlachetniejszej i ogólniejszej natury? Ona go kocha całą siłą świeżego dziewczęcego serca, drży o jego życie, tęsknić będzie w łzach za oddalonym, — a oto jednak nietylko że nie zatrzymuje go przy sobie, lecz owszem, sama mu przypomina obowiązki i żąda odeń, by dopełnił ich przedewszystkiem i w całości. Odsłania się nam tu inna podniosła cecha charakteru Beaty, mianowicie głęboka, wszczepiona w serce idea ofiary z osobistych uczuć na rzecz dobra powszechnego. Z tem wszystkiem tkliwe i gorące uczucie miłości w sercu kobiecem odzywa się na chwilę ze zdwojoną mocą: w chwili rozstania jakiś ostry ból, wywołany dziwnym jakimś lękiem i przeczuciem złowrobnem przenika duszę Beaty... Coś jej szepce, że los im nazawsze rozłączy się każe, że ich szczęście nie ziści się, chociaż tak pięknie śnionel... „Może on ją już zastanie w grobie... lub może powróci innym, obojętnym ku niej, chłodnym... a może — już jej serca niegodnym...” Niestety!... przeczucia te okazały się prorocznymi... Niezginiał wprawdzie Hrehory, ani ona z tęsknoty umarła; wrócił jej kochanek zdrów i cały, ale skalany na wieki piętnem hańby niezmytej. Dostał się był do niewoli, i widząc nad swoją szyją topór, stehórzył podłe i wydał

w zasadzkę swoich, aby ocalić własne swe życie. Cóż Beata?... Jakże ona przyjęła tę wieść okropną?

„... Obląkana, chora?
Ona pogardza, lecz kocha Hrehora.
Jej biedne serce kolejno się zmienia,
Sama nie zgadnie, gdzie bicie gorętsze;
Uczucia wstępu albo ubóstwienia
W dwie różne strony targają jej wnętrze...”

Zaprawdę, cios, co ugodził w jej serce, był nad siły... To, co ukochała najgoręcej miłością wielką i nieskazitelną, miłością opartą na szacunku, ubóstwieniu niemal, na głębokiej wierze w podniosłość i szlachetność — ujrzała naraz niskiem, nikczemnem, podłym, a więc niegodnem już miłości jej serca... Poznała w jednej chwili całą głąb fałszu i złudzenia, którego była ofiarą. Cios to nadto silny, aby mu się oprzeć mogło wątłe jej ciało, Ciężka choroba złożyła ją na łóżko niemocy. Jak jednak trudno kochającemu wielką miłością sercu wyzbyć się wiary w dobroć i szlachetność tego, co się ukochało nad życie!... Gdzieś — w głębinie duszy — pod brzemieniem bólu i całym ogromem rozpacz — wbrew wszelkim pozorom — tliła się jeszcze, jak iskierka — nadzieja, że może to fałsz, co o nim mówią, może to potwarz ohydna!... I oto — gdy po raz ostatni stanął przed nią Hrehory — ona błaga go, by zaprzeczył potwarzy, by odkrył przed nią całą prawdę... Niestety!... słowo wyznania zbrodni i hańby, jakie padło z ust Hrehorego, było ostatnim, śmiertelnym pociskiem na to nieszczęśliwe, zbolełe serce... Jęka boleśnie — i padła bez życia na ziemię... Przeżyłaby może zgon miłości, lecz rozbicia ideału przeżyć nie mogła.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Doktorat kobiecy przed stu laty.

Dziś tak często spotykamy się z wiadomością, że na tym lub owym uniwersytecie, otrzymała stopień doktora praw, filozofii lub medycyny — kobieta, — że wiadomość taka nie jest już ani nadzwyczajnym wypadkiem w dziejach nauki, ani zdarzeniem niezwykłym w rozwoju samej sprawy niewieściej. Dzisiaj, jest to niemal codzienna notatka w dziennikach; a jako kropla wyżłabia twardą skałę, tak notatka owa powtarzając się coraz częściej na przestrzeni stulecia, skruszyła, zdaje się, już zupełnie, twarde zbyt długo przekonanie — jakoby umysł kobiecy nie dorósł swą miarą do wyżyn nauki ścisłej i przeznaczony był jedynie do pojmowania rzeczy łatwych i mniej złożonych. Doktorat po doktoracie dowodzą wielkich zdolności kobiet, a pokolenia które kiedyś będą wychowane przez wysoko inteligentne matki, rozwiją te zdolności niewątpliwie daleko wyżej i już — łatwiej, bo — dzieinnie.

Przed stu laty, jednakowoż doktorat kobiecy był nadzwyczajnym wypadkiem, budzącym ciekawość, zajęcie, i co więcej uroczyście uwielbienie. Taka właśnie uroczystość odbyła się miała na uniwersytecie w Göttingie w roku 1787, w którym równocześnie święcono 50-letni jubileusz istnienia słynnej tej wszechnicy, zwanej inaczej „Georgia i Augusta.“ We wspaniałej sali przemawiał „Rector magnificus,“ zaznaczając z radością, że uniwersytet w przeciagu dotychczasowego niedługiego istnienia liczył już 15000 studentów, a między nimi obecnie, o dziwo! szczyt się jedną studentką! która swój doktorat filozoficzny dziś właśnie przy tym dniu rocznicowym składać będzie. Tą zajmującą bohaterką wiedzy była młodzianka, siedemnastoletnia córka znakomitego profesora historii von Schlöttera, panna Dorotea Schlözer.

Po ukończeniu inauguracyjnej mowy rektora, przedstawiciele wydziałów i stowarzyszeń studenckich udali się do domu profesora Schlöttera, aby przyprowadzić z należnym hołdem młodziankę swą koleżankę, o której zresztą wiadano, że jest, oprócz niesłychanych zdolności, prześlizną, świeżą i ujmującą dziewczyną, którą właśnie wzruszona jej matka stroiła na takie wielkie dla niej święto. Jakoż po krótkiej chwili, rozwarły się podwoje sali uniwersyteckiej, weszli studenci wysłani po kandydatkę, ze swemi sztafardami, a za nimi ukazała się w białej sukience, skromnie uczesana, w białym woalu, drżąca i bardzo onieśmielona, blada ale przytomna i uważna — Dorotea. Wskazano jej miejsce pod kosztownym baldachimem, na prawo od niej usiadł sam rector magnificus, na lewo jej uczonej ojciec, spokojny, pewny siebie. Wszakże ta córka, to jego arcydzieło, jego uczennica, jego sława, jego cel życia. Ale on jest spokojny, on wie, co mieści w sobie ta dziecinna nieledwie główka, jakie tam, za tem białem czołem żyją smugi światła, jakie skarby wiedzy i błyskawice bystrości. Wokół stołu zasiedli profesorowie egzaminujący, a dalej na sali, zastępy studentów i publiczności, zgromadzonej na takie niesłychane w owe czasy widowisko. Pomyślano i o koniecznym pokrzepieniu się wśród naprężenia egzaminu, a młody student praw, Herman Rodde, miał spełniać urząd gospodarza. Ustawił też w należytym porządku odświeżające napoje, owoce, słodycze, ale z widocznym współczującym niepokojem spoglądał ukradkiem na piękną koleżankę, która tymczasem odzyskawszy zupełną swobodę, czekała w skupieniu na przeznaczone jej zapytania.

Trudną przeprawę zaczął profesor Michaelis, słynny orientalista. Jako do kobiety i to słizkiej, zwrócił się z pytaniem „o lustrze,“ ale pytanie miało tylko pozór elegancji, a było wistocie wyrafinowane trudnem. Chodziło o prawdopodobieństwo owego lustra na latarni morskiej w Aleksandryi, w którym rzekomo mieli mułmanie oglądać okręty chrześcijańskie, stojące w porcie Carogrodu. Dorotea odpowiedziała zwięźle a wyczerpująco; opierając się na poważnych źródłach islamskiego księcia i autora Ismaela Abulfeda, dowiodła jasno i dokładnie, w jaki sposób i dla czego mylili się mułmanie. Słuchacze, a mianowicie sam profesor, byli zdumieni znajomością przedmiotu i własnymi oryginalnymi poglądami Dorotei. Matematyk Kästner poprowadził egzamin dalej. Jak sam później opowiadał, stawiał jej najtrudniejsze, najbardziej bałamutne zapytania, aby „jej nogą podstawić i z siodła wyrzucić,“ ale wyszła zwycięzko z tego wiru i zamętu uczonych zasadzek z matematyki, algebry, geometrii, dioptryki, katoptryki, aż stary profesor rękę jej w gorącym zatrzymał uścisku i winszował imieniem uniwersytetu jej i jej ojcu, wzruszony i zdziwiony nieprzeczuwaną w dziewczynie znajomością tak trudnej nauki. Nastąpiła chwila przerwy, Herman Redde przystąpił do stołu i ofiarował z osobliwą nieśmiałością swej rozruminowanej koleżance szklanek zimnej lemoniady. Podniosła na niego oczy i ładna błyskawica, ciepła i wesola, skrzyżowała się między nimi. Egzaminatorowie tego nie widzieli, ale młody słuchacz prawa, uczył, że i lewa strona u niego żyje, bije i tętni tak jakoś świątecznie i uroczyście, godowo. Tymczasem egzamin poszedł dalej. Historyk Gatterer rzucił Dorotei tylko jedno łatwe pytanie: W którym roku Temistokles zwyciężył flotę perską pod Salaminą? — Odpowiedź była bardzo długa, bo do okola tej słynnej daty rozwinięła kandydatka szczegółowy obraz całej floty, przebieg bitwy i wyborną charakterystykę głównego dowódcy tego pamiętnego zwycięstwa. Gdy Dorotea wyszła z pod Salaminy zwycięzko, przystąpił filolog Heyne i zażądał przetłómaczenia ody Horacego o bitwie pod Akcyum i zadowolniony z tryumfu dziewczęcia, odszedł kręcąc głową jak i inni nad tem zjawiskiem szalonej pamięci, zmysłu spostrzegawczego i ścisłości rozumowania, wszystko to — zaledwie na progu młodości. Egzaminatorowie z rektorem usunęli się do przyległego pokoju dla osądzenia piśmiennej rozprawy Dorotei o ro-

syjskich zabytkach numizmatycznych, a gdy rozprawa ta uznana została za „celującą,” przemówił do panny Schlözer jeden z profesorów po łacinie, na co Dorotea odpowiedziała wymownie po grecku. Egzamin skończony, serce Dorotei zabiło gwałtownie, bo oto nadeszła chwila ozdobienia jej głowy doktorskim kapeluszem, tyle upragnionym przez jej ukochanego ojca i mistrza. Na znak dany, profesor v. Schlözer sam, drżącą ze wzruszenia ręką, wyjął grzebień z włosów swej córki, fala złotych pierścieni rozsypała się po szyi i białej sukience, welon osunął się do stóp dziewczyny i rector magnificus złożył na mądrej niewieściej głowie oznakę uniwersyteckiego doktoratu. Salą wstrząsnął okrzyk radosny: „Niech żyje Dorotea Schlözer! Niech żyje uniwersytet Georgia Augusta!” Szczęśliwy ojciec promieniał dumą, Dorotea zachowała pogodny spokój, lecz uśmiechnęła się jednak nieznacznie, gdy spotkawszy wejście Hermana Rodde stojącego opodal, zauważyła, że z nietajoną radością zacierał ręce i gładził czoło, jakby resztę jakiejś troski zeń zgarniał. Przy tryumfalnym marszu muzyki miejskiej, wśród grona profesorów i studentów wracała Dr. filozofii Dorotea Schlözer do rodzicielskiego domu, a dzień ten cały był w miasteczku uniwersyteckim jednym ciągiem gorących owacyj dla rodziców i córki...

Zdarzyło się osobliwym zbiegiem okoliczności, że niedługo potem matka Dorotei stroiła znów swą jedynaczkę w tę samą białą suknię na uroczystość wielką w jej życiu, bo do ślubu z owym Hermanem Rodde, który niewątpliwie niemniej radośnie tym razem koleżeńskie swe dłonie z radości zacierał. Młoda para mieszkała czas jakiś w Lubecie, gdzie Rodde był adwokatem, a następnie został tamże prezydentem miasta. Długotrwałe szczęście nie było jednak udziałem Dorotei; ukochanego męża straciła wcześniej, a sama, dziwnym też zbiegiem losu, umarła nagle w Göttinge, gdzie przyjechała odwiedzić córkę tego rektora, który ją przed laty tytułem doktorskim ozdobił. I znów liczny zastęp profesorów i słuchaczy wszechniczy w Göttinge odprowadzał Doroteę w smutnym współczuciu na miejsce wiecznego spoczynku, z ką już nie miała powrócić ani do sławy, ani do wiedzy, ani do szczęścia, których tylko tak błyskawicowo użyła w swym niedługim życiu.

Doktorat ten Dorotei Schlözer nosi na sobie cechę osobliwego, pięknego, nadzwyczajnego zdarzenia, którem cieszą się bliźcy i dalsi, z którego czyni wypadek instytucja naukowa i miasto całe. Przyjęto go z jednogłośnie uwielbieniem i ani jeden głos się nie odezwał dysonansem lub krytyczną uwagą co do piastowania doktoratu przez kobietę, uważano to zdarzenie za wyjątkową osobliwość odosobnioną w sobie, nie widząc w niej kiełkującego prądu na przyszłość, prądu, który zaczął się coraz bardziej uwidatniać w bieżącym stuleciu, a dziś nieważna na swej fali niemal już setki doktoratów kobiecych, już nietylko z dziedziny filozofii, ale nauk przyrodniczych i medycyny. Uniwersytety dzisiejsze nie obchodzą już tak szumnie i tak entuzjastycznie uroczystości niewieściej egzaminów fachowych, jużby nie było dziś na to ani czasu, ani może i chęci, gdy doktorat z wyjątkowego zajmującego zdarzenia stał się kwestyą bieżącą, często sporną, a tak częstą, że budzi nie już ciekawość, lecz dane statystyczne, zaznaczające pochodzenie jednej z najżywiej się budzących idei współczesnych, to jest—sprawy niewieściej. Bodajby jednak szczęście i życie dłużej towarzyszyły dzisiejszym posiadaczkom godności doktoratu, niż to się stało udziałem tamtej, jednej z najpierwszych głów kobiecych, którym ten zaszczyt przyozdobił skronie.

Szczęсна.

MARZENIE.

Na matczynem drzemiąc łonie,
O zabawce dziecię sni,

I wyciąga drobne dłonie —
Przez sen woła: dajcie mi!

Kwiat-dziewczyna tęsknie głowę
Ponad krzewem zwiesza róż —
Drżą usteczka koralowe,
Pocałunków pragną już.

Mędrzec tajne bada prawa,
Śledzi mgławic wolny ruch —
Przyszłą sławą się napawa
Jego wieszczy, wielki duch.

Dziecię, dziewczę, mędrzec siwy,
Snują marzeń złotą nić,
Z marzeń czerpią swe porywy,
Pragną działać, pragną żyć...

Gdyby tak marzenia siłą
Nie wezbrała pierś ich wprzód —
Życie by im się sprzykrzyło,
Pierwszy lepszy zabił trud!...

Wiktor Dzierżanowski.

Akord.

Pioletem, purpurą, bronzem i szkarłatem,
Wśród rozświetlonej blasków i świateł powodzi
Przepyszna tarcza słońca zwolna za bór schodzi
Okolona barw cudnych i ciszy stygmatem.

Ostatniem świetlnem tchnieniem prześwieca
[przez krzewy

I po mchach wyłoczone kreśli arabeski;
Aż hen, w czysty, pogodny płyną strop niebie
[ski,

W drzew baldachimie wszczęte ptasząt cudne
[śpiewy,

Poważnie i w skupieniu, jak z pod stóp ołtarzy
Brzmia ich pienia serdeczne, w wielkim, le-
[śnym tumie

Serce się w cichej naraz pograża zadumie, —
I niepoprawne znowu roi, sni i marzy.

Józef Wiśniowski.

Jasło.

Kazimierz Gliński.

KRZYWDA

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg.)

IX.

Dobrze mu było!

Powóz zatrzymał się, lokaj otworzył drzwiczki karety, z której wysiedli pan, pani i panna. Wstąpili na ganek, ale drzwi były zamknięte.

Hipolit wyszedł na dziedziniec.

— Al—zawołał jegomość, w którym Grudowski poznał pana Rybę...—Mamusi nie ma—co?

— To państwo? — odezwał się zdziwiony Hipolit.

Pani Brygitta uśmiechnęła się przyjaźnie i wyciągnęła rękę do podchodzącego.

— Witam, serdecznie witam!—mówił Grudowski.—Ślicznie pani wygląda, — zwrócił się do Matyldy, która przywitała się z nim jak z dawnym i dobrym znajomym.

— Pani Januszowej nie zastaliśmy?—powtórzył pan Bonawentura.

— Matka wyjechała do Lwowa na ślub Henryka.

— Na ślub pana Henryka? To się żeni?—udał zdziwienie pan Ryba.—Nic nie wiedziałem, tego uważasz, jak Pana Boga kocham, nic nie wiedziałem. Musieli tedy dziś, albo wczora wyjechać?

— O, nie! jeszcze przed imieninami żony pańskiej.

— Tak?... a nie mi o tem nie wspominałeś...

Rzeczywiście, pan Hipolit nie wspominał o wyjeździe matki i brata, ale go wyręczył Tołpiskiewicz, o czem jednak pan Ryba przemilczał. Nie wspominał nic nawet przed żoną i wybrał się z wizytą do pani Januszowej, wiedząc, że jej nie zastanie, lecz w danym wypadku leżało to w jego interesie. Lękał się chłodnego przyjęcia, jako słusznej zapłaty za zerwanie stosunków, a tak, wizyta wizytą zostanie, stosunki znów się nawiążą, w czem już dopomoże sam Grudowski, tymczasem młodzi przyjrzą się sobie lepiej, a pan Hipolit zniewolony będzie niebawem odwiedzić znowu Hajczyńce. Manewr się udał, tembardziej, że i pana Hipolita w domu zastali, czego właśnie pragnął pan Ryba.

— No—tego uważasz, —mówił, pokręcając wąsa.—Pisząc do pani Karoliny wspomnij o naszych odwiedzinach, o naszych serdecznych uczuciach i przyjaźni prawdziwej, tego uważasz. Szczerze żałujemy, żeśmy nie zastali szanownej mamy twojej, panie Hipolicie! lecz, co się odwlecze, to nie uciecze, a nie godzi się, dyabeł wie dla czego wiać chłodem od siebie, kiedy tu potrzeba ciepła, tego uważasz, ciepła i zgody, tem bardziej, że Grudowscy i Rybowie zawsze zaprzyjaźniali się z sobą—tego uważasz. A sam zerwałeś stosunki—szepnął do ucha,—przypomnij... sam! Plotce jakieś uwierzyłeś a może głupiej chimerze baby,—szepnął ciszej—i wężu, krętu—nazad! Ale ja—tego uważasz—pierwszy rękę do zgody podaję i nic o żadnych niesnaskach wiedzieć nie chcę. Klaniaj się tedy szanownej mamusi dobrodziejce a wytłomacz nas. No—niewiasty,—zwrócił się do kobiet,—żegnajcie i—jazda!

— Ale państwo choć przez chwilę odpocząć muszą. Trzy mile drogę!—rzekł Hipolit.

— Nie wadziłoby,—odpowiedział pan Ryba,—bo mi coś i w krzyżach strzyka, ale—zamknijcie!...—dodał, pokazując na drzwi mieszkania pani Karoliny.

— Jeśli państwo pozwolą, to proszę do mnie,—rzekł Grudowski, zwracając się do pań. Pani Rybina zawahała się niby, panna Matylda spuściła oczy ku ziemi.

— Turciu—jak uważasz!—spojrzała pani Brygitta na męża.

— Ja ceremonii nie lubię... Prosi—to i czegoż chcecie jeszcze?

— Tak—tak—tak!—zaśmiał się pan Hipolit.—Żona winna posłuszeństwo mężowi, córka matce—zatem?

Mówiąc to, prawe ramię pani a lewe pannie podał.

Zasmiano się wesoło i już bez oporu weszli wszyscy do mieszkania pana Hipolita.

— Wybaczą państwo, że nie po królewsku ich przyjmę, ale czy mogłem spodziewać się gości tak pożądaných? Proszę do salonu—zaraz będzie samowar i—tylko chleb z masłem, — dodał, pochylając głowę.

— Ale niech pan nie robi sobie ambarasu,—odezwała się prawie razem matka i córka.—Odpocznijmy chwilę i pożegnajmy pana.

A pan Ryba bąknął.

— Gadajcie sobie, co chcecie, a jabym z przyjemnością herbaty się napił.

— Turciu!—reflektowała pani.

— No i co—tego uważasz?... Czy to grzech chciać herbaty?

— Zmuszają mnie panie do przypomnienia znowu obowiązku posłuszeństwa, — odezwał się z powagą Grudowski.

Oczywiście, że już bez oporu zgodzono się i na herbatę.

— Pan ma fortepian?—zawołała Matylda, rozglądając się po salonie.

— Mam, mam,—odpowiedział Hipolit, — ale cóż z tego, kiedy bezużytecznym jest dla mnie sprzętem. Chciałem go sprzedać... przed laty—i nie wiem dla czego się go nie pozbyłem. Może mu przeznaczonem jest, by dłoń czyjaś, tu jeszcze, na jego spoczęła klawiszach.

Nieznacznym rumieniem zabarwił twarz panny Matyldy a pan Ryba spojrział na Brygittkę i wąsą pokręcił.

— Możeby pani co zagrała?—rzekł Hipolit.

Panna Matylda zbliżyła się do fortepianu.

W tej chwili w uszach Grudowskiego zadźwięczała nuta, która go tak ukolysała wczoraj. Z drżeniem serca patrzył na pannę Matyldę, jak podniosła wieko fortepianu, przysunęła taboret, usiadła, zgarnęła suknię, poprawiła rękawy, zamysliła się chwilę i palce nad klawiszami zawiesiła.

Z zapartym oddechem czekał Grudowski odezwania się strun. Coś mu w duszy szeptało: „To ona wygra tę pieśń stworzoną wczoraj przez ciebie—to ona, ona będzie tą, którą—pokocham!...”

Panna Matylda uderzyła w klawisze i skoczno zagrała mazurka... Hipolit drgnął lekko... i czar prysnął.

— Ha!—po pewnym namyśle szepnął sam do siebie.—Głupiec ze mnie!... Co za związek być może między chorobliwym mojem marzeniem wczorajszym a chwilą obecną?... w jaki sposób mógłby kto wygrać melodię tak tajemniczo zrodzoną w mózgu moim?... A jednak—jak ją pamiętam doskonale!

Panna Matylda skończyła grać i wstała od fortepianu.

— Dziękuję pani,—rzekł Grudowski podchodząc i szczerze ściskając jej rękę.—Takiej uczty nie miałem od dawna. Zawsze tu pusto jest i cicho!

— Ale bardzo ładnie, — dodała panna Matylda.—Te nawet ściany bielone mają w sobie coś więcej sielskiego niż domy nasze ze swemi tapetami i posadzkami błyszczącymi... A! i pajęczek mały spuścił się na mnie... Czy widzi pan, jak on szybko po ręce biega?—rzekła, podnosząc dłoń ku panu Hipolitowi. — Tak dawno nie widziałam pajaka. „Soir-éspoire!“—dodała z uśmiechem, przypatrując się malenkemu stworzeniu, które szybkimi ruchy biegało po dłoni, palcach i wierzchu aksamitnej ręki.

— Strąć go, pani!—odezwał się Hipolit.

— Nie, nie, nie!—zawołała, odwracając się szybko od Grudowskiego.—„Soir-éspoire,“ a kto nadzieję odtrąca?... Przykrości mu nie zrobię i panu skrzywdzić go nie pozwolę. A gdzie on?—zawołała nagle, patrząc na ręce, gors i ramiona—

Grudowski pomagał w szukaniu, lecz wszelkie usiłowania były próżne—pajęczek skrył się musiał w fałdach sukni.

— Ale pan ma i ogród przesliczny,—odezwała się po chwili Matylda, zbliżając się do drzwi paprapetowych. — Widzę aleje, ginące w wieńcach kłębów, zakręty gazonów i srebrny wężyk rzeczki. Może przejdziemy się po ogrodzie?—spytała nagle, zwracając się do rodziców a wzrok zatrzymując na panu Hipolicie.

— Doskonała myśl! — podchwycił Grudowski.—Wieczór mamy tak ciepły, że szkoda go przesiedzieć wśród czterech ścian. Proszę! — rzekł, otwierając drzwi na balkon.

Wionęło miłe ciepło i zapach przekwitających lewkonii.

Ogród w Górkach był wcale niezłe utrzymany, aleje szerokie i oczyszczone z chwastów skręcały się co chwila i rozbiegały się we

wszystkie strony. Pan Hipolit dla matki pilnował tu porządku, nie chciał zresztą zapuszczać tego pięknego kawałka ziemi, na którym rosły klony i dęby stuletnie, obrzynie kolumny świerków piętrzyły się ku niebu a lipy były zawsze pełne szumu i gwaru i brzęku rojów pszczołnych. Co chwila od głównej drogi odbiegała ścieżyna jakaś i kryła się w gąszczu bżów lub drzew tarniowych: domyśleć się łatwo tam było schroniska dla spragnionych odpoczynku, ławki z darni i okrągłego stołu jeżeli nie wybrednej altanki.

Po raz pierwszy pan Hipolit zwrócił uwagę na te tajemnicze cienie kłębów, krzewy tworzące altany i melancholijne ustronia. On tam nigdy nie marzył, teraz dopiero spostrzegł, że są bardzo ładne i że chwil parę przyjemnie tu można przepędzić. Nie spodziewał się nawet, by tak zacisznie i spokojnie było. Z lubością przypatrywał się drzewom; z dziwnie rozkosznym uczuciem zapuszczał wzrok w ich cienie tajemnicze.

— Czy wie, pani, że nigdy mi tak pięknym ten ogród nie był, jak dzisiaj, — zwrócił się do Matyldy.

A pan Ryba uśmiechnął się i mruknął do siebie:

— Miałem nos!

A do żony szepnął.

— Dobrze, że was namówił na tę wizytę.

A głośno:

— Wspaniały park! Co za drzewa -- tego uważasz... Pił pi!... Sprobujmy objąć tę lipę.

Podana myśl podobała się wszystkim, rzuceno się ze śmiechem do wykonania projektu.

— Ogrom—tego uważasz!... Brygittko, nie dosięgam rąk twoich.

Grudowski trzymał pannę Matyldę za paluszki, które ścisnął dość mocno, ażeby się mu z rąk nie wysliznęły.

Schodzili w dół, gdzie aleja skręcała na prawo. Panna Matylda szła krokiem powolnym, oddychając ciężko. Pan Ryba prowadził żonę.

W tem dał się szum słyszeć i klekot głuchy. Matylda zatrzymała się; uniosła głowę, jakby nasłuchując, nozdrza lekko drżeć zaczęły, rumieńce wystąpiły na twarz, a oczy zapaliły się ogniem niezwykłym.

Pan Ryba spojrział z pewnym niepokojem na córkę, matka nieznacznie pociągnęła ją za rękę, ale Matylda nie zważała na te przestrogi rodzicielskie. Szum i klekot stawały się coraz wyraźniejsze i słychać było spad wody.

— Młyn!—zawołała panna Matylda... — Prawda, panie Hipolicie, że tam młyn być musi?...

— Tak!—odpowiedział zapytany...—Czy pani lubi klekot kół młynskich?

— Przepadam za tem i powiadam panu otwarcie, że nie znam nic przyjemniejszego na świecie. Podaj mi pan rękę i zaprowadź do młyna,—on pewnie ztąd niedaleko.

— Sto kroków—lecz przejście jest bardzo niewygodne a nawet niebezpieczne, bo z tej strony prowadzi do niego nie grobla lecz nasyp z ziemi i kamieni, bardzo wysoki i o grzbiecie nierównym. Z jednej strony rozlewa się niewielki ale głęboki stawek, z drugiej padół przepaścisty.

— To nic, nie!—odpowiedziała panna Rybianka.—Ja muszę być w młynie!

— Matyldko!—mitygował ojciec.

— Chère amie!—szepnęła matka.

— Czy rodzice nie wiedzą, że ja muszę koniecznie usiąść pod młynem?... Panie Hipolicie, proszę, podaj mi rękę i koniecznie zaprowadź do młyna.

Coś tak niezwykłego było w gorączkowych ruchach i słowach panny, że ani pan Ryba ani jego małżonka sprzeciwić się jej nie śmieli, wiedząc zresztą, że toby się na nic nie przydało. Hipolit nie wiedział nic o tem dziwactwie, a rad był choć na chwilę pozostać z nią samą, lecz zwrócił się jeszcze z następującą przemową:

— Uczynię, co tylko pani rozkaże, lecz muszę zwrócić uwagę, że na tej, niby grobelce, jest błoto dość grzaskie. Czy pani nie żałuje bucików?

— Nie, nie, nie,—odparła nerwowo panna Matylda,—tylko prędzej, tylko prędzej!...

— Doprawdy, obawiam się, czy pani przejdzie przez ostry i poszarpany grzbiet nasypu?

— Przejdę, przejdę,—byłe prędzej!...

Przyjęła podane ramię i zaczęła iść szybko a tak powiewnie, że Grudowski zdziwił się. Miał blisko serca rączkę panny Matyldy, i ledwie się mógł powstrzymać od pokusy pocałowania tej rączki. Zeszli z drogi i skierowali się na wązką, porośniętą chwastem ścieżynę.

— Co tak panią w młynie zachwyca?—zapytał Hipolit swej towarzyszki.

— W młynie—nie... Ja zawsze siadam pod młynem i przypatruję się godzinami całemi bryzgom fal rozpryskującym się na krople drobne. Mgła, unosząca się wtedy nad tą wstęgą srebrzystą, przedziwny urok ma dla mnie; miarowy oddech kół i ich klekot, szelest spadającej wody, to muzyka nad wszelkie muzyki, najpiękniejszy poemat jaki czytałam kiedy. Przychodzi mi nieraz chętka rzucić się w ten wir, otoczyć się mgłą, objąć ramionami fale i wraz z niemi kołysać się, zaplątana włosami w kół żebra. Ja się kiedyś utopię,—rzekła, patrząc z uśmiechem na pana Hipolita.

— Co pani mówi!—zawołał Grudowski.

— Zobaczy pan!

— Założę się, że nie!

— A będzie mnie pan żałował?

— Niech mnie pani tylko zawiadomi o chwili tego rozpaczliwego kroku, bym mógł ją chwycić w powietrzu i do Hajczyniec przywieźć.

— Czemu nie do Górek?

— Może i do Górek,—zaśmiał się pan Hipolit.

— Czy tam można będzie usiąść? — spytała Matylda, wskazując w stronę młyna.

— Chyba na mokrym brzegu Unawki.

— Królewskie siedzenie!—odpowiedziała Matylda.

Słowa panny Rybianki dziwnie uderzały o słuch Hipolita. Wydała mu się bardzo poetyczną z tem zamiłowaniem do bryzgów fal srebrnych, z tem porównaniem szelestu wód do muzyki i poematu, z tą chęcią utopienia się nawet. Wyobrażał ją kołyszącą się wśród nurtów wzburzonych, wychodzącą z bieli pian z wniesionymi nad głową ramionami, pochyloną w tył nieco, jak rusalka czy bogińska grecka, a on ją chwytając w pół piękną, z pian białością ciała walczącą — i unosi do Górek. Czuł drżenie serca, niepokój ust, przedziwną muzykę krwi. Obowiązek jednak kazał mu powiedzieć, że brzeg rzeki jest bardzo błotnisty i bez poważnego zmożenia się usiąść na nim nie można.

— Papo! — zawołała nagle panna Matylda, zwracając się do idących w znacznym już oddaleniu rodziców.—Pa-po!—rzuciła głośniej.

— A czego tam?—odhuknął pan Ryba.

— Pan Hipolit powiada, że na brzegu usiąść nie można, bo jest wilgoć! Proszę mi palto dać swoje.

— Co?—zawołał pan Ryba.

— Dać—swoje—paaalto!...

— Czy ona jeszcze przed ślubem bzikia nie dostanie,—mruknął ojciec, ale palto zdejmować zaczął.

— Panno Matyldo, a to co znowu? do czego to podobne, żeby ojcu kazać rozbierać się?—odezwał się pan Hipolit.—W młynie przecie jest zawsze ktoś i miękki kilimek znajdzie się dla pani.

Uspokojona tą obietnicą zaczęła iść dalej, nie zważając na wciąż piętrzące się przeszkody.

Weszli na grobelkę tak wązką, że ledwie we dwoje utrzymać się mogli na jej powierzchni, błotnistą bardzo i zaslaną ostremi kamieniami. Ku dołowi rozszerzała się spadzisto, ale sam szczyt nie do przebycia był prawie.

Panna Matylda uniosła nieco spódniczki, i zaczęła po kostki grzęznąć. Ale szum spadającej wody i klekot kół młynskich stawały się coraz wyraźniejsze; już widać było dach trójkątny budynku, wystający nad wierzchołki wierzb karłowatych—i bryzgi kropliste.

Panna Matylda z lekkością łani szła naprzód, a że ścieżyna zwęziła się, Hipolit puścił rękę panny i już szedł za nią.

Teraz patrzył z obawą i zachwytem zarazem. On musiał wybierać kamyki i stąpać uważnie bo poslizgnąć się łatwo było i nogę wywichnąć; ona szła równo, śmiało, z lekkością nieporównaną. Lecz parła ją namiętność niezrozumiana, utrzymywała podniecona siła nerwów. Nie patrzyła na nogi nawet, zdawało się panu Hipolitowi, że same kamyki podbiegały pod jej stopy, że utrzymywała ją w równowadze gęstość powietrza a nierówna ścieżyna wyrównywała się pod nią.

Byli już przy samym młynie.

— A teraz w dół! — odezwała się panna Matylda.

— Pani! — zawołał Grudowski naprawdę już przestraszony.

Chciał powstrzymać szaloną, bo spadek był za gwałtowny, a mokra ziemia zdawała niebezpieczeństwo — lecz zanim zdołał zdać sobie sprawę z położenia, panna Matylda, z płonącymi koralami ust, z zaróżowionymi policzkami — stanęła już nad brzegiem rzeczki.

Grudowskiego ogarnęło zdumienie. Rad nie rad musiał podążać śladami swej przygodnej towarzyszkii. Lecz jakże to czynił niezręcznie, jak chwycił się krzaków, a nawet ratować się musiał rękami, by kozła nie wyrzucił! Gdy stanął przy niej, zastał już ją wpatrzoną i wsłuchaną, tak, że nie słyszała ani jego kroków, ani słów podziwienia dla odwagi niewieściej.

— A — pan już przy mnie! — zawołała po chwili upojenia.

Obejrzała się.

— Gdyby tu usiąść można było —

— Za chwilę pani urzędzę siedzenie. — odpowiedział Grudowski.

Złożył dłoń w trąbkę, skierował ku młynowi i huknął na cały głos:

— Hawryło!

— He? — odpowiedział głos jakiś.

Na mostku pokazał się człowiek, umączony cały, a dostrzegłszy pana, zdjął czapkę i czekał rozkazu.

— Może znajdziesz coś do podesłania pannie. Słyszysz?!

— Aha! — odpowiedział Hawryło, — i znikł w młynie.

Po chwili pojawił się z kilimkiem w ręku.

— Dawaj tu!

Starowina stanął nad spadkiem i głową pokręcił.

— Bucnę — proszę pana.

— Rzuć!... Tak! — zawołał pan Hipolit, chwytając w powietrzu rzucony przedmiot.

Schylił się i rozesał na ziemi.

— Niech pani teraz usiądzie, złożyłem we dwoje. Zdaje się, że od przemoczenia ochroni to panią.

Slicznym uśmiechem podziękowała panna Matylda Hipolitowi i rzuciła się na rozesłany kilimek.

Teraz w zupełnym zapomnieniu oddała się młynowi, który grzmiał, huczał, a trzy koła opłatywały się przejrzystym pasem wody, spadającej w rzutach gwałtownych w kotłinę, nad którą unosiła się mgła kryształowo-srebrzysta, rozbita na pył drobny kropel, a rozbijane piany śniegi szerokim rozbiegały się kołem i podplwały do samych stóp siedzącej nad brzegiem rzeki dziewczyny. Oczy panny Matyldy przybrały wyraz lubego upojenia, policzki krwią grały, delikatne nozdrza w nieustannym były ruchu. Nie dziw — zbliżał się wieczór, aromaty przewiedłych ziół i kwiatów umierających napelniały powietrze.

Pan Hipolit oczu od niej oderwać nie mógł... Po raz to pierwszy w życiu był sam na sam z kobietą, pod odkrytym niebios błękitem, w otoczeniu czarodziejskiej przyrody, wiejącej ku niemu zapachem traw, szelestem wód, urokiem nieznanymi techniami, pożądań i pragnień, nie wywołanych dotąd. Na określenie swojego stanu nie mógł innych słów znaleźć, jak tylko: dobrze mi jest — i, patrząc na ziemię, niebo, i na pozostającą w zachwycie pannę Matyldę, — powtarzał:

— Tak!.. dobrze mi jest!

Słońce schylało się niżej i niżej — aż zaszło, czerwoną smugą, barwiąc skraj nieba. Młynarz zasnął zastawy, spadła ostatnia fala wody, zatrzymały się koła...

— Aaach! — jakby budząc się ze snu, głęboko westchnęła panna Matylda.

Zejsz łatwiej było, lecz wracać tą drogą, którą przyszli — nie sposób. Pan Hipolit zaproponował przejść przez kładkę, okrążyć młyn i polami do domu wrócić.

Panna Matylda bez szemrania zgodziła się na propozycję. Szli więc razem, — tylko pan Hipolit zauważył, że krok panny Matyldy znów ociężał i nie było tej gibkości ruchów, jakie podziwiał godzinę temu.

Na wschodzie zarumieniała się ciemna głąb nieba — to księżyc wstawał. Powoli wznosił się glob czerwony, nabrzmiały, rozganiając cienie szare, rzucając na pierś ziemi srebrno-różową poświatę.

Wieczór był cichy, przesiąknięty wilgocią, na nizinach snuły się mgły i ciepłe wznosiły się opary. Brakło tylko zgrzytu koników polnych, smętnego śpiewu żab i bąków, odzywających się z trzciny wodnych, tych wiosny niezrównanych artystów.

Państwo Rybostwo z pewnym niepokojem czekali na przybycie zbiegów.

— Tego uważasz, Brygittko, za długo coś tam bawisz pod młynem... Może to i dobrze — ale — zawsze — tego — uważasz.

Chodził od okna do okna, pokręcał węża i mrucał:

— Ha — może i dobrze!

— Turciu! — reflektowała małżonka.

— Ja — tego uważasz — tak tylko sobie... przypuszczam.

— Co? co?

— Nic, tego uważasz... wypadek jakiś —

— Turciu!

— No — noga się usliznęła — czegoż chcesz? — zawołał pan Ryba.

W sieni dał się gwar słyszeć i oczekiwani weszli do jadalnego pokoju.

— A co to się tam stało z wami? — zawołał pan Bonawentura, spostrzegłszy idących. — Nabawiłem się strachu, jak Pana Boga mego Kocham! Bo to wieczór... no — tego...

Chrząknął.

Pan Hipolit ze śmiechem zaczął opowiadać o wyprawie, wychwalając śmiałość i zręczność ruchów panny Matyldy.

W jadalnym pokoju już paliła się lampa i samowar gadał.

— Łaskawi państwo, — odezwał się pan Hipolit. — Samowar jest, ale ja nigdy herbaty nie pijam, więc nie wiem, czy uda mi się jej przyrzadzenie. Może pani, — zwrócił się do Matyldy, — zechce wyreżyżować niezgrabiasza?

— Doskonale! będę gospodynią w domu pana, — zaśmiała się panna Rybianka i zajęła się gospodarstwem.

— Hm! to dobrze powiedziano, — mruknął pod nosem pan Bonawentura, a pani Brygitta uśmiechnęła się zadowolona.

Herbata była doskonała, masło i chleb wyborne. Panna Matylda uwijała się przy stole, raz wraz powołując Hipolita do posług, którego dom po raz pierwszy napelnił się gwarem i śmiechem. Z wielkim zadowoleniem wypełniał wydawane rozkazy, odgadywał myśli zazwyczaj nietrafnie, co wzbudzało wesołość, a nie spuszczał oczu z panny Matyldy, zauważył, że przesliczną była z czajnikiem w ręku.

Po herbacie przeszli do salonu, i panna Matylda po raz drugi do fortepianu usiadła. Zagrała teraz walca, którym z panem Hipolitem rozpoczęła bal w Hajczyńcach. Grudowski nie poznawał siebie i pustych, głuchych ścian swojego mieszkania; śmiech dzwonił, bił gwar rozmowy, brzmiała muzyka. I czuł, że się coś przewałowało we wnętrzu jego istoty, coś się rozdziło i wołało z krzykiem: szczęścia! szczęścia! Gdy państwo Rybostwo opuścili dwór górkowski, a pan Hipolit znalazł się znowu samotny,

pierś mu się głębokiem poruszyła westchnieniem, stał chwilę, milczał przez chwilę, a budząc się z zadumy, wyszeptał:

— Ach! jak mi dobrze było!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dwie chwile z życia artysty.

Na wieść o przybyciu do nas naszego mistrza Paderewskiego, naszego „króla tonów“, pośpieszyć do Warszawy, zdobyć bilet na koncert, zachępną niezatartych wrażeń, było to potrzebą i rzetelnym pragnieniem nie tylko wytrawnych znawców muzyki, ale i kochających ją całą duszą śmiertelników. Z dalszych też stron podążyło wielu, a co się działo w obszernej sali ratuszowej dnia 15 z. m. zapewne nikt nie zapomni, bo takich chwil zapomnieć niemożna. Już sam nastrój publiczności, skupienie uwagi zapowiadało coś niezwykłego; więc gdy na estradzie oświetlonej promieniami jarzącego światła, kiedy w sali półmrok zlekka rozpraszały palące się lampy, ukazała się postać mistrza, gdy orkiestra powitała go fanfarami, a publiczność długim, przeciągłym grzotem oklasków, gdy potem z pod palców zaczęły się snuć te poematy dźwięków, czarujących duszę — mnie wtedy myśl uniosła w dość odległe, tak się zdaje jednak niedawne czasy, a wyobraźnia uprzytomniła rysy kobiety, która musiała na życie mistrza rzucić ślad, zostawić odbicie swoich uczuć, dążeń i idei. Są dusze tak silnie świetlane lub bogate w zasoby zapału i moc wiary, że każdy ich czyn, każdy krok zostawia na długie czasy zasiew bujnego kwiecica. Taką kobietą była żona mistrza Paderewskiego Korsakówna. Mało znana szerszemu ogółowi, wcześniej zgasła, ale niezapomniana nigdy tym, co bliżej ją znali. Cień tej kobiety gorąco kochającej wszystko co wyższe, co szlachetne, patrzącej w przyszłość z jasną pogodą i pragnieniem pogodę tę i dążność czynów społecznych rozgrzewać naokoło siebie, snuł mi się wśród fal melodii, wśród tych tłumów zebranych słuchaczy, w oklaskach entuzjastycznych, zdawało się, że słyszę głos dźwięczny a taki rzewny, tej, co pierwsza uznała wielkość talentu w młodziutkim fortepianistcie, pokochała go całą potęgą uczucia, wierząc w jego charakter i przyszłość.

W roku 1878 spotykaliśmy się w konserwatorium warszawskim, zapisane do klasy fortepianowej ś. p. Jana Słowińskiego. W pamiętnej ponurej salce na dole, gdzie dominowały ogromne organy, przeszło 20 uczennic przeważnie z wyższych kursów, zgromadziło się w dniu rozpoczęcia lekcji po feryach letnich. Świeżo przybyła do Warszawy, onieśmielona, wylekła, wśród tego obcego mi otoczenia, grałam formalnie nieprzytomnie jakąś część koncertu Humla. Dobiwszy jakoś szczęśliwie do końca, po uwagach profesora, z pierwszem słowem przyjaznem, z pierwszą zachętą i uściskiem zwróciła się do mnie jedna z przeznaczonych losem koleżanek, p. Korsak. „Pani musiała być uczennicą profesora Czarnomskiego — mówiła — wszak prawda? Poznałam to od razu po układzie ręki i sposobie uderzenia. Ach, był to także i mój nauczyciel, biedny męczennik!“ I głos nadzwyczaj miły załamał się, a lzy perliste zabłysły w bardzo pocziwych oczach.

Znany naówczas w Warszawie Czarnomski, jeden z najlepszych nauczycieli muzyki, zakończył w tym właśnie czasie życie bardzo tragicznie. Nieuleczalna choroba groziła mu zupełnym zniechęceniem, obawiając się tedy być ciężarem i umniejszać nadaremna kuracją zebrany fundusik ukochanej żonie i dzieciom, zrozpaczony, dobrowolnie skrócił męczarnie choroby. Był to jeden z nader sumiennych pracowników, bardzo zacny człowiek; nadmiarem pracy stargał siły przedwcześnie, wspomnienie więc

drogiego nam nauczyciela i wzajemne żywe dla niego współczucie zbliżyło nas odrazu, tworząc pewien łącznik wśród tej gromadki obojętnej, z różnych sfer i z różnych stron przybyłych uczennic. Ujęta byłam odrazu dobrocią mojej nowej znajomej. Miała przedewszystkiem niezmiernie melodyjny organ mowy, miała jakiś dziwny powab w żywości, tej żywości, świadczącej o dużych zasobach umysłu i serca. Nie była ładna, ale twarz niezmiernie wyrazista, a błękitne pogodne oczy o ciepłych błyskach, pociągały i wzbudzały zaufanie. Spotykałyśmy się wprawdzie tylko na lekcjach gry na fortepianie i to na krótko, albowiem moja nowa znajoma była zawsze bardzo zajęta, zawsze śpieszyła się, obarczona dobrowolnie cudzemi sprawami, zawsze dążyła z załatwieniem jakiego interesu, mającego cudze dobro na celu. W przelocie znalazła jednak chwilę dla zamienienia kilku życzliwych wyrazów, uwag, serdecznego uścisku dłoni, co mnie coraz więcej dla niej zjednywało i robiło prawdziwą radość, bo widziałam, że ta sympatyczna dla wszystkich, ta umiejąca się otoczyć pewną dystygnowaną powagą koleżanka, trzyma się jednak dość zdala od reszty, od wszelkich długich a pustych rozmów, poufanych żartów, co przecież naokoło mnie było na porządku dziennym. Pierwsze to nasze zbliżenie się było zapowiedzią głębszej sympatii, ale niestety jedno słowo z mej strony, słowo nierozważnego trzpiota, powiało chłodem na tę naturę niezmiernie wrażliwą i zmroziło budzące się dla mnie żywsze zainteresowanie. Nic wiążącej się już przyjaźni przerwała następująca drobna okoliczność.

Nauczycielem śpiewów zbiorowych i zasad muzycznych był wtedy dziś już nieżyjący Studziński Karol. Pedantycznie ścisły, a lubiany od uczennic, miał wiele poczucia muzycznego i wiele zapału; cieszyły go niezmiernie najmniejsze przebliski talentu w uczennicach, ale też dla niezdolnych był nieubłagany. Pamiętam dobrze, jak nam pierwszy zwiastował o przybyciu do Warszawy nowej a zupełnie nieznannej śpiewaczki Kochańskiej. Usłyszał ją na pierwszym występie w Towarzystwie muzycznym i zaraz nazajutrz opowiadał z zachwytem, rokując artystce wielkie powodzenie. Otóż pewnego dnia, na zbiorowej lekcji śpiewu, charakterystycznym swoim lakonicznym sposobem wyrażania się, prosił o uwagę i poprawny śpiew, albowiem będzie nam do wyjątku z „Fligende Holender“ akompaniować obecna chluba instytutu, a może i nasza przyszła sława.

Nie wymienił nazwiska, ale domyślałyśmy się, że to będzie Paderewski. We wszystkich klasach opowiadano sobie o tym najzdolniejszym uczniu p. Sztrobla, ale go nie spotkałam dotąd nigdzie. Oczekiwałyśmy zapowiedzianego akompaniatora mocno zaciekawione, z oczyma niecierpliwie w drzwi utkwionemi, a dwie solistki panny K. i Z. tymczasem półgłosem nuciły swoje solowe partye. Gdy wszedł nareszcie, wydał nam się tak bardzo wysoki i szczupły, tak bardzo młody, a złotawa czupryna, wichrzająca się naokoło głowy tak kolosalnie wielką, że tylko poważny jego wyraz twarzy i spokojna godność całej postawy, powstrzymała wybuchy humorów młodocianych, i nabożne jakieś poszanowanie wnet wzięło górę. Naturalnie, gdzie było kilkadziesiąt młodych dziewcząt, tam powaga bezwzględna nie mogła na długo zapanować. Zaczęły się więc pociski spojrzeń, usiłujące zwrócić na siebie uwagę młodego fortepianisty, a gdy te okazały się bezskuteczne, taka obojętność uderzyła w najdrażliwszą strunę natury niewieściej i posypały się ciche a złośliwe uwagi. „Patrz — mówiła jedna obok siedząca brunetka o wyzywających czarnych oczach, obecnie śpiewaczka opery — ani razu na nas nie spojrzy, jakby tu nikogo nie było, ale jakie też ma długie ręce, a jakie olbrzymie palce!...“ i t. d. Szeptu poczynali powstawać niby brzęczenia much. Paderewski siedział przy fortepianie, przerzucając nuty, ze skupieniem i powagą. Kilkomu akordami uciszył jednak wszystkie gadatliwe usta, przykuł uwagę, a wnet batuta Studzińskiego dała znak do rozpoczęcia. Po skończeniu dość udanej próby, gdy

rzuciliśmy się do wyjścia, zdziwiona przy drzwiach zobaczyłam stojącą z zaszlochaną i dziwnie rozjaśnioną twarzą, moją przyjaciółkę pannę Korsak. Oczy pełne blasku promieniały niezwykle i czyniły ją zupełnie ładną.

— A pani co tu porabia? — zapytałam — wszak nie chodzicie nigdy na nasze śpiewy.

— Przyszłam posłuchać. Prawda, jak on gra ślicznie!... jakie ma uderzenie cudowne?... jaki jest inny, odrębny. O! zobaczycie, jaki on będzie wielki!

Te kilka słów wyrwały się z duszy pełnej uwielbienia i najczystszej a głębokiego uczucia dla talentu i człowieka. Na razie nie umiałam zdać sobie sprawy i ocenić całej wartości słów, tchnących prawdziwą szczerością i w odpowiedzi, niebaczną, powtórzyłam kilka z wesołych a złośliwych uwag moich najbliższych sąsiadek z chóru, dodając i od siebie jakiś niefortunny dowcip.

Jakżeż bardzo pożałowałam tego! Po niewczasie spostrzegłam, że żart na uczucie prawdziwie czyste i podniosłe jest zgrzytem, rażącym jego delikatną tkanę, jest niezgrabnym skokiem żaby, nie umiejącej ocenić tajemniczego jeziora.

— Jakżeż pani powierzchownie sądzi — usłyszałam w odpowiedzi — ach, jaka pani powierzchowna! a ja myślałam o was inaczej. Szkoda — i usunąwszy się szybko, obrzuciła mnie spojrzeniem pełnym niewymownego żalu, zdziwienia i jakby doznanego zawodu. Gama tonów, jaka brzmiała w jej głosie, dopowiedziała mi reszty. W jednej chwili zrozumiałam całą niewłaściwość z mej strony, ale miałam nadzieję, że to nie wpłynie na zmianę naszych stosunków. Wpłynęło niestety stanowczo. Unikała odtąd mnie tendencyjnie, a ponieważ niezadługo potem musiałam chwilowo opuścić konserwatorium, za powrotem, po kilku miesiącach, nie zastałam już mojej zacnej i sympatycznej koleżanki. Poślubiła Paderewskiego, a w rok potem już nie żyła.

Ta próba przed laty i koncert dzisiejszy, dwie chwile tak różne w zestawieniu, przecież w duszy mojej podobnemi bardzo mi się wydały, tylko że dwadzieścia lat temu uwielbiało Paderewskiego jedno, ale bardzo kochające i szlachetne serce — dziś mistrza uwielbiają i kochają wszyscy.

Kalisz, dnia 18 Stycznia 1899 r.

Emilia z Chrzanowskich Bohowiczowa.

PAMIĘTNIKI

Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej.

(Dalszy ciąg.)

Lubiłam nadewszystko teatr i bywałam często na widowiskach jego. Opera włoska nietyło mnie zajmowała. Pani Marchetti-Fantozzi tłusta i z wysokim głosem — niemiłe na mnie sprawiała wrażenie w rolach kochanki. Tombolini — otyła masa — śpiewał także dyskant; to mi zupełnie wydawało się nienaturalne. Treść oper nudna, zbyt długo ciągnęło się widowisko. Balet mnie nie zajmował, zdawało mi się, że Józia W. lepiej od baletniczek tych tańczyła. Ale dekoracje, kostyminy, nadewszystko oświetlenie cudne było. Więcej cieszyłam się na tragediach. Dzieła dramatyczne Szyllera jedne podругich przedstawiano. „Narzeczoną Messyny“ grała przecudnie pani Flek, jedyna znakomita aktorka tego teatru. Urok jaki ją otaczał, był niepojęty. Wdzięk, postawa, oddźwięk głosu i piękność fizjonomii, tak były niezwykle, że tylko utworem poetycznym zdawaćby się mogły, gdyby je pióro uzdatnione opisać postanowiło. Pani Meyer, kobieta mężka, oddawała prześlicznie rolę lady Mackbeth z Szekspira, ale niedość mi się wydawała idealną w „Dziewicy Orleanu“ Szyllera;

gdybym nie była wprzódy czytała tej tragedii i sama sobie utworzyła ideału Joanny, byłabym z niej może więcej zadowolona. Zresztą najslyniejsze aktorki berlińskie nie równały się w oczach moich z naszymi Truskolaskiami, Szczurowską i innymi mniej znanymi, ale pełnymi wdzięku i naturalności Polkami, ukazującymi się na scenie naszej narodowej. Widziałam je była na scenie obranej z wszelkiego uroku wyższej wystawy, a przecież były ozdobą tej szopy skromnej, którą teatrem zwano. Podobny natenczas istniał w Szarlottenburgu. Döbblina truppa grała tam rozmaite parodye, ale ich gra była parodią parodii.

Szarlottenburg z przesłicznym pałacem, ogromnemi drzewami pomarańczowemi i oleandrami kwitnącemi w skrzyniach otaczających dziedzińiec pałacowy, podobał mi się i zbudził podziwienie; nie mogłam pojąć uciechy Niemców, żeby karmić karpie królewskie w kanale ogrodowym. Na głos dzwonka, umieszczonego w poręczy mostu, krąży koła na wodzie; po wrzuceniu kawałka bułki w kanał, pokazują się pyszczki karpia — mniejsze, większe, nikną bułki — i otóż wszystko. Taras otacza pałac od ogrodu, wokoło niego cienkie białe kamienne słupki, rozszerzone ku górze, mieszczą na swej wysokości biusty rodzinne z marmuru białego; to wszystko takie sztywne, niesmaczne, bez wdzięku i wzniosłości — nie mogłam sobie wytłómaczyć tego braku gustu w bliskości stolicy, co posiada bramę Brandeburską, akademię sztuk pięknych i wystawę najpiękniejszych płodów (1802—1804).

Ładny był ogród Eckartshausena, pełen gustu i fantastyczności — utwór poezji żyjącej. Drobnego zameczek gotycki, otoczony laskiem mięszanych drzew liściowych ze świerkami, mostki i altany, wszystko przemawiało do duszy tęsmej i odbijało na jej tle obrazy przeszłości, osnute urokiem lubej i wzniosłej wyobraźni.

Wśród Berlina zwiedzałyśmy czasem *Monbijou*, zamek natenczas królowej matki. Panna Bocquet czekała tylko zezwolenia rodziców, aby mnie przedstawić tej pani i zaproponować na damę czytelniczkę.

Brałam lekcye na instrumencie nowo wynalezionym przez niejakiego Friedla, muzyka nadwornego w Dreźnie. Syn jego był w orkiestrze królowej matki w Berlinie. On sam jeden w tej stolicy obeznany ze składem tego instrumentu, został mym nauczycielem. Trzy takie, nazwane cymballius-harmonika, zostały dopiero sfabrykowane. Jeden z nich posiadała siostra Friedla, drugi księżna Isenburska, trzeci ja. Królowa matka pragnęła go słyszeć; miałam nabyć więcej wprawy i śmiałości, grać w jej pokojach i być przedstawioną na damę honorową. Ale królowa pani ucierpiała na zdrowiu — po niedługiej chorobie umarła — i zostawiła mi tylko prawo noszenia żałoby, do którego szlachcianki w stolicy przebywające są upoważnione — chociażby tylko jak ja pensjonarkami były. Niemki ściśle praw swoich strzegą — i ja uległam temu zwyczajowi, z rozkazu ochmistrzyni przybrałam żałobę, do skompletowania której otrzymałam w podarunku od cioci piękną chustkę gazową, koronkami oszywaną. Pamiętam dobrze tę okoliczność, bo stanowiła epokę na pensyi, gdzie tylko zwierzchności szkolnej napływają dary, ale na uczennice się nie rozlewają... chyba przy egzaminach wydzielone drobnotki. Każdy z nich przyniósł mi jaką pamiątkę, bo wynagradzano pilność moją, jeżeli nie wyższe zdolności.

Oswoiwszy się z mojem położeniem, byłam sobie dość swobodną. W czasie lekcji nawet przychodziły mi myśli wesołe. Jednego dnia, w godzinie jeografii mowa była o Toruniu, jego starożytnościach i pamiątkach historycznych dobrze zachowanych. Znakomita okoliczność, że tam urodził się Kopernik, najważniejsze stanowiła wspomnienie. W następnej lekcji powtórzano przedmioty z poprzedniej. Żadna z panien nie zachowała w pamięci astronomia; zapytana jedna z ostatnich: „Czem Toruń sławny jest? — odpowiedziałam: „Piernikami.“ Panny w śmiech; myślały, że wielką powiedziałam niedorzeczność; i nauczyciel rozśmiał się, ale mi przyznał słuszność i zapytał o resztę. Pamiętałam i Koper-

nika bardzo dobrze. Panny zostały zawstydzone, a ja otrzymałam pochwałę. Nieszczęśliwie na nią zasłużyłam; mieszkając niezbyt daleko od tego miasta handlowego, z którym tysiączne dom nasz miał styczności, nie trudno było wiedzieć, czem się odznacza. Nie szukałam więc ehluby z tego zdarzenia. Jeszcze wtenczas nie walczyli uczeni niemieccy z Polakami o narodowość tego sławnego męża i uważali go wprost za swego ziomka, chociaż nazwisko jego wskazuje, do którego należał szerepu.

Inną razą udało mi się wprowadzić w kłopot nauczyciela niemieckiego języka. Był to młody przesadzony pedant, uczył nas pięknego czytania, a wzięwszy powieść o wilku, co na śmiertelnym legowisku wspominał czyny całego żywota, odczytał z wzniosłym wyjęciem kilka okresów i kazał nam powtarzać. Stało się to na wszystkie tony i rozmaitemi akcentami, na jakie tylko zdołały się zdobyć koleżanki moje. Przyszła kolej i na mnie. Uchwyciłam doskonale przesadną metodę pana Müller — i dosłownie go naśladowałam, z mocniejszym być może naciskiem jeszcze. Śmiech powszechny powstał w całej sali... tylko pana Müller nie zabawiło moje czytanie — zrobił się karmazynowy, a poznaczonej mocno ospą naturalną, zyskał biało odbijające się mamuryzowanie. Po długiej, dosyć krytycznej pauzie, zmienił przedmiot — o wilku już nie było mowy.

Nie byłabym mogła odgadnąć znakomitych losów moich współuczennic. Niedawno (1844 r.) donosiła mi jedna z nich, mieszkająca w Berlinie, o niektórych. I tak: panna Stamford, doszedłszy swego przeznaczenia na damę honorową księżnej Oranii, później królowej hollenderskiej, pozostała nią aż do późnego swego wieku, wyrzekłszy się zamężcia, pomimo że była osobą bardzo ładną. Obok wszystkiego, czego uczono na pensyi, miała ona jeszcze metrów do języków angielskiego, łacińskiego i greckiego i brała początki matematyki. Zamiłowanie nauk i swobodny stan damy dworskiej zapewne ją odwiódł od zamężcia — i nie jedyny to przykład widzę, że osoby tak wysoko usposobione zrzekają się właściwego powołania kobiety.

Dwie panny Voight były Angielki nieładne, ale dość zręczne. Matkę miały ochmistrzynię dzieci księcia Antoniego Radziwiłła. Starsza Emilia została panną do przyborów królowej, pięknej Ludwiki. Po przedwczesnym skonie tej pani w taką wpadła rozpacz, że umysł jej został obłąkany i umarła. Jak silne uczucia wzbudzała ta królowa, przypomina mi to, że wielu młodych mężczyzn odbierało sobie życie, pokochawszy idealnie jej osobę — z rozpacz, że nie mogli zbliżyć się do swego ideału, a nawet miewała tę niespodziankę przed oknami swego pałacu. Stało się to modą. Szaleństwo okupione życiem, świadczące o upadku wiary Chrystusowej.

W tem miejscu w rękopiśmie znajduje się znów przerwa.

Wnosząc z pozostałych dwóch listów, pisanych do pani Adaminy przez brata Juliana, będącego wówczas w szkole wojskowej w Berlinie, w r. 1806 opuściła ona pensję panny Boquet i powróciła do domu ojca i macochy. W 1808 r. zmarł w Berlinie jej brat Julian skutkiem zapalenia płuc, wywołanego zaziębieniem. Zdaje się, iż ten fakt musiał na niej bardzo bolesne zrobić wrażenie i głęboko utkwieć w pamięci. Świadczy

o tem choćby ta okoliczność, że listy brata, oraz dwa inne, pisane przez jego ówczesnego opiekuna, a zawierające opis jego ostatniej choroby z taką starannością i czcią przechowywała, że dziś po blisko stu latach, są to obok pamiętników — jedyne, jakie po niej pozostały pamiątki. Jednakże w pamiętnikach nie ma o tym fakcie żadnej wzmianki — jak w ogóle o żadnym z bolesnych przeżyć, któremi ją życie nawiedzało. Opowiadanie przerwane na wspomnieniach pensyonskich rozpoczyna na nowo dopiero od tej epoki życia, kiedy pod opieką ojca i macochy zaczęła bywać w świecie i brać udział w zabawach, które ówczesnym pannom z domów zamożnych przeważną część życia zapelniały. Było to w epoce Księstwa Warszawskiego i wojen napoleońskich, w epoce bardzo barwnej i ruchliwej, pełnej wypadków i wrażeń.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Mysli Klementyny Hofmanowej.

Szukaj szczęścia w cnotcie i w samej sobie, znajdziesz je bez długich zabiegów.

Bądź umiarkowaną w żądaniach swoich, pragnij tylko, co się z łatwością stać może, i pragnij tak słabo, abyś dotkliwej nie uczuła boleści, kiedy i te żądania spełnionemi nie będą.

Kochaj rozsądnie, kochaj tylko osoby godne kochania.

Przestawaj na tem, czego odmienić nie możesz, bądź kontenta ze stanu, z losu swego; nigdy niczego nie zazdrość nikomu.

Nie wymyślaj sobie nowych obowiązków, własne ściśle dopełniaj; ceń wyżej powinność nad ofiarę; dobre mniemanie u ludzi przekładaj nad głośne imię; dbaj więcej o spokojność, niż o dostatki.

Surowa dla siebie, baczna na najmniejsze postępkę, nie zastanawiaj się bardzo nad drugimi; niech cię każdy kocha i szanuje, ale do cnot i przymiotów twoich łącz tyle skromności, żebyś nigdy w nikim nie wzbudzała bojaźni.

Dbaj o zdrowie twoje, nie bądź zbyt troskliwą; czuła na cudze zgryzoty i cierpienia, usiłuj jak najmniej uważać na własne; pamiętaj: że każdy człowiek cierpieć musi, i że zbyt w tem życiu szczęście, możeby w nas nadzieję przyszłej szczęśliwości zatarło.

Ile możności wspieraj nieszczęśliwych i czynj przysługi; nie wymagaj wdzięczności, a niewdzięcznych nie spotkasz nigdy.

Tak w cnotach, jak w naukach, nie wstecz ale naprzód idź zawsze.

Nie mów, że kiedyś dołożysz starania do nabycia nowych cnot i wiadomości, nie odkładaj na jutro, co dziś uczynić możesz; nie czekaj życia, żyj w obecnej chwili.

W sądzeniu o ludziach, i widzeniu dobrze wszystkiego, bądź długo młoda i zresztą, stosuj się zawsze do wieku, jaki mieć będziesz. Jak dojdiesz do dojrzałego, umiej być starą.

Niech żadne przywiązanie twoje, żadne uczucie, nie przechodzi granic umiarkowania i rozsądku, kochać wszystkich ludzi jak siebie, rodziców, męża, dzieci, ojczyznę, przyjaciół, więcej jeszcze, a Boga nad wszystko; ten jest obręb czułości, za który się bezkarnie nie wychodzi.

Żadnego uczucia, żadnej miłości, nie jest tak łatwo za daleko posunąć, jak macierzyńskiego przywiązania. Oprócz nieustannych cierpień; których dla matki źródłem się staje, na dzieciach daleko jeszcze smutniejsze sprawia skutki. Matka spokojnością tylko i życiem błęd swój przypłacić może, dzieci charakterem i sercem.

Niech zawsze prawda w twoich będzie ustach, nigdy tego nie udawaj, co nie czujesz, nigdy tego nie czuj, co byś kryć musiała.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: ark. 5-ty powieści, p. t. *Adolf Ribbing*, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. Tom II-gi.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Treść: Lina Morgenstern, przez Szczęsną. — Postacie niewieście w poezjach L. Kondratowicza. Studium psychologiczno-etyczne, przez Stanisława Ostrowskiego (dalszy ciąg). — Doktorat kobiecy przed stu laty, przez Szczęsną. — Marzenie, przez W. Dzierżanowskiego. — Pamiętniki Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej, przez J. Moszczeńską (dalszy ciąg). — Mysli Klementyny Hofmanowej.

Dodatek obejmuje: *Adolf Ribbing*, powieść, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. arkusz 5-ty. Tom II-gi. — Przegląd mód. 33 wzorów i robót z opisem. — Sekretarza gospodarskie. — Dyspozycya obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow. — Przedmieście № 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg. Дозволено Цензурою. — Варшава, 17 Февраля 1899 г.

Suknia wiosenna, przybrana pliskami.

Rycina Nr 1. (Krój odwr. str. tablicy Nr X, fig. 85—90).

Oryginalna ta tualeta z zielonego sukna, przybrana stebnowanemi pliskami, z tegoż samego materiału stanowi bardzo strojny spacerowy kostium. Spódnica naszyta jest pliskami wokoło. Pliski te zbiegają się na przodzie i wązko zakończone, podnoszą aż do stanu. Staniczek z baskiną, okrągło z przodu zakończoną, przód ma wykończony w rodzaju kamizelki. Przód ten zapięty jest na drobne guziczki, naszyte na pliskach, przybierających przód w kształcie szamerowania. Wyłogi wyszyte białym sukmem, pokryte gipiurą, podłożone są napiersnikiem z zielonej materyi. Okrągły na ramionach leżący kołnierz, cały zastebnowany jest pliskami, drugi — Medicis, ozdobiony odpowiednio do wyłogów. Pliski szerokim szlakiem ciągną się wzdłuż przodu, zwążają w stanie i przeciągają się wokoło baskiny. Przybranie rękawów składa się z plisek, ułożonych odpowiednio do przodu stanika.

Wiosenna suknia z otwartą z przodu polonezą.

Rycina Nr 2.

Spódnica z wełnianej grubej gipiury, na jedwabnym spodzie w tym samym kolorze. Poloneza z sukna w kolorze hawanna, otwarta z przodu na bluzce z materiału spódnicy. Poloneza zakończoną jest wokoło falbaną, zwążającą się do przodu i wznoszącą się aż do kołnierzyka. Prócz tego, poloneza przybrana jest wyszyciem z jedwabnego sznura w ciemniejszym odcieniu. Wązkie rękawy, epolety i wyłogi przy rękach mają pokryte wyszyciem ze sznura.

Wiosenne ubranie, przybrane haftem.

Rycina Nr 3.

Oryginalne i nowe jest ubranie z błyszczącego ciemno-niebieskiego sukna, przybrane haftem z czarnego i białego jedwabiu, oraz szafirowej sznelki. Na gładkiej sukni, formą princesse, haft naśladuje krótki paltocik. Wyłogi w kształcie szalowego kołnierza podłożone są szmizetką z białej, jedwabnej, marszczonej gazy. Zapięcie sukni i brzeg przykrywa wązki haftowany szlaczek. Tak samo przyszyte są falbany z przodu węższej, z tyłu szerszej. Obcisłe rękawy całe pokryte są haftem. Kapelusz z cienkiego szarego filcu, przybrany jest białymi strusimi piórami i rozetami z białego aksamitu.

Sportowy kapelusz dla młodej osoby.

Rycina Nr 4.

Stosowny do powożenia, jazdy na rowerze, a nawet i do konnej jazdy, kapelusz z jedwabnego, jasno-popielatego filcu, wysoką główkę opasaną ma szeroko czarnym aksamitem. Rondko, lekko zawinięte, oszyte jest popielatą wstążeczką. Trzy fantazyjne pióra białe, cieniowane czarnem, przypięte z boku agrafą, stanowią przybranie.

Ubranie do gimnastyki dla panienek.

Rycina Nr 5. (Krój odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 51—62).

Praktyczne i wygodne ubranie do gimnastyki z angielskiej satyny, w ponsowe i białe paski, przybrane satyną gładką ponsową, składa się ze spódniczki, majteczek i lekko wyrzuconej bluzki, zapiętej z przodu na duże perłowe guziki. Dół spódnicy, oszyty jest 6 centim. od brzegu, plisami z gładkiej satyny. Z takiejże satyny zrobione są mankiety przy rękawach, pasek i kołnierz. Majteczki, wszyte w karczek, ściągnięte są przy kolanach i spięte na sprzączkę.

Pas do gimnastyki, zastępujący gorset.

Rycina Nr 6. (Krój odwr. strona tabl. Nr XI, fig. 92—95).

Pas z angielskiej satyny, na dymkowej podszewce, z przodu i na bokach usztywniony jest jedynie zastebnowanemi sznurkami, z tyłu zaś cienkimi fiszbinami. Zapięty z przodu na guziki, z tyłu zasznurowuje się jak zwykły gorset. Na bokach przyszyte są i opatrzone guzikami patki, do których przypinają się majteczki i podwiązki. Pas wykończony może być w dowolnym kolorze, najpraktycznijszym przybraniem jest mocny hafeik.

Szlak robotą filet giupure, do serwet, firanek etc.

Rycina Nr 8.

²/₄ naturalnej wielkości.

Szlak siatkowy 22 ctm. szer. wykonywa się niemi Nr 25, białymi lub szaremi, stosownie do przeznaczenia. Jak zawsze należy szlak dobrze wyciągnąć w ramach i dopiero wtedy przystą-

pić do wykonania deseni. Deseń nadzwyczaj prosty i bardzo przytem efektowny nie przedstawia żadnych trudności. Brzeg powinien być bardzo mocno obdziergany, a wtedy wycina się siatkę i powstają zęby, jak przy haście lub koronce.

Aksamitna sukienka dla dziewczynki od 4—5 lat.

Rycina Nr 9. (Krój pierw. str. tabl. Nr V, fig. 42—47).

Sukienka z ciemno-zielonego, angielskiego, prążkowanego aksamitu, w formie bluzy, przyszyta jest do karczka i przybrana dużym gipiurowym kołnierzem. Kołnierz na plecach schodzi się w ząb, z przodu zaś składa się z dwóch części, przykrywa karczek aż do ramienia i tylko w samym środku nieco się rozchodzi. Odpowiednie do karczka mankiety zdobią rękawy.

Tualetowe przybory do konnej jazdy.

Rycina Nr 10—18.

Nr 10 wskazuje gors białą płócienny, połączony z takimże wysokim kołnierzem, zakończonym maleńkim, wykładanym i podwiązanym czarnym jedwabnym krawatem. Następne numera: nowego fasonu kołnierzyk stojący, zakoń-

czony ażurem (odpowiednie do niego mankiety mają zamiast trzech po dwa zęby), okrągły kapelusz z jedwabnego, szarego filcu, przybrany wązkiem boa ze strusich szarych piór, szpicruty oprawione w oksydowane srebro, rękawiczki z mocnej, glansowanej skóry w kolorze brudnoczerwonym, na podszewce w kratę, szpilka do krawata, w kształcie złotej podkowy z rzemyskiem, brelok, złote strzemie i szpicruta, broszka, podkówa wysadzana brylantami lub rubinami.

Tualetowe przybory do jazdy na rowerze.

Rycina Nr 19—24.

Nr 19 bardzo ładny kapelusik z granatowego filcu, podszyty białym atlasem, objęty i opasany białą repsową wstążeczką. Następne numera: czapeczka z materiału wełnianego w kratę, przybrana ponsowem lub granatowem piórkiem, torebka skórzana, wyszyta morą, którą łatwo zawiesić przy pasku, a służąca do schowania portmonetki, chusteczki i t. p. drobiazgów. Na zamknięciu, mocno okutem w nikel, oprawionymi są: zegarek i małe lusterko, biały, płócienny półbucik z obłożeniem z białej skóry i związany



Nr 1. Ubranie wiosenne, przybrane pliskami. (Krój odwrotna strona tablicy Nr X, fig. 85—91).

Nr 2. Wiosenna suknia z otwartą z przodu polonezą.

Nr 3. Wiosenna suknia przybrana haftem.

sznelką i kilka razy u brzegu oszyty szafirową aksamitką. Wysoki, stojący kołnierz od karczka, podwiązany jest koronkową krawatką, schowaną pod przodu stanika. Wąskie, długie rękawy zakończają wypustki z alpaki i z taffetas.

Kapelusz dla młodej osoby.

Rycina Nr 2 w Bl. Nr 10.

Zgrabny kapelusik z białej, ryżowej słomki, opasuje draperya z niebieskiego aksamitu mi-roité. Z przodu podpięte rondko przytrzymane jest kokardą, w którą wpięta różowa, rozkwitła róża, oraz gałązka z liśćmi i z pączkami nisko schodzi na włosy.

Peleryna wiosenna.

Rycina Nr 3 w Bl. Nr 10.

Długa peleryna z szaro-zielonego sukna, na odpowiedniej, atlasowej podszewce, składa się z dwóch, nałożonych na siebie części. Każdą z tych części zakończają zęby, podłożone atlasem, na którym w równych odstępach przyszyte są ozdobne guziczki. Prócz tego, część spodnia przybiera pliska z atlasu. Obie części peleryny wszyte są w karczerek, w ostre zęby wycięty i spięty na drobne guziczki. Wysoki kołnierz Medicis, zakończony jest tak samo, jak brzeg peleryny.

Ubranie cyklistki dla panienki od 13 — 14 lat.

Rycina Nr 28 w Bl. Nr 10. (Krój pierwsza strona tablicy Nr II, fig. 12 — 24).

Zręczna ta sukienka z jasnego, w modnym kolorze covert-coat, składa się ze spódniczki, stebnowanej u dołu kilka razy, skrajanej w ten sposób, że zastępuje majteczki. Kaftanik krótki, z przodu okrągło wycięty, tak samo jak spódniczka stebnowany, zapina się w środku przodu na perłowe guziczki. Z pod niego widać bluzkę z cienkiej flanelki, ponsowej w białe paski. Przód bluzki przybrany jest kamizelką z marszczonego, białego voile'u. Epoletki i mankiety na rękawach, wykończone są także stebnowką. Krawatka i czapeczka na odpowiednim do kostyumu kolorze, dopełniają całości.

Przepisy gospodarskie.

PASZTETOWA KAPUSTA.

Czerwoną kapustę uszatkować i sparzyć. Dwie łyżek masła zasmażyć, włożyć w kapustę, dobrze wycisnąwszy wodę, dolać trochę wody, szklanek słodkiego wina, łyżkę octu, szczyptę soli, trochę cukru, trochę małych rodzynków, zasypać tartą bułką i dusić do miękkości, często mieszając.

PASZTECIKI Z HOLENDERSKICH ŚLEDZI.

Trzy śledzie rozplatać na wpół, obrać z ości, odrzucić głowę i ogon i wymoczyć dziesięć godzin w słodkim mleku. Trzy łyżek mąki rozbić z trzema łyżkami oliwy i sześcioma białkami, śledzie wyjąć z mleka, wytrzeć serwetą do suchości, każdą połowę śledzia zawinąć w trąbkę, maczać w przygotowanym cieście i smażyć na gorącym maśle. Podając ubrać smażoną zieloną pietruszką.

LIKIER KAWOWY.

Należy upalić niezbyt mocno pół funta najlepszej kawy „Mokka“ i na gorącą jeszcze, wyrzuconą wprost z kominka na salaterkę nalać kwartę najlepszego spirytusu, przykrywszy szczelnie salaterkę zostawić w spokoju przez trzy godziny. Zalać trzy funty cukru w kawałkach kwartą wody, rozpuścić na ogniu i wlać w wazę, dodawszy pół kwarty spirytusu, oraz ową kwartę spirytusu, zlaną z kawy, a następnie przefiltrować, zakorkować i schować na pół roku przed użyciem.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa pomidorowa czysta.
2. Paszteciki w kruchem cieście.
3. Rosboeuf po angielsku.
4. Kapusta pasztetowa.
5. Indyk pieczony z kompotem.
6. Tort hiszpański.

Nr 33. Ubranie do konnej jazdy z angielską spódnicą. (Krój pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—11).

UWAGA. Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w tym i w przyszłym numerze „Bluszczu“ podać się mające.